



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 5 września 1954 r.

Nr 36 (232) Rok V

Listy nauczycieli

LEOPOLD STAFF

Dzikie wino

Ogrodowa altana
Z krat zielonych utkana,
Spowita dzikiem winem
Jak mrącym gobelinem,
Płonie wrześnieowym czarem,
Krwawym liści pożarem.
Wśród gorących odcieni
Złota, brązu, czerwieni,
Purpury oszalałej,
Mrze jesień pełna chwały.
Ognia nieme języki
Wybuchają w barw krzyki.
Zbytek, nadmiar bogaty,
Szczodry przepych zatury,
Piękno śmiertelnie chore
Ostatnim życiem gore.
A nad dumnym zniszczeniem
Rośnie wysokim cieniem
Jak zetlała topola,
Dymu Savonarola.
I w swe zbrodnicze święto
Widmem nad zgłiszczem trwa.
Bruciamiento
Della vanita.

TADEUSZ KURPIEWSKI

Działacz kultury z zaufania środowiska



Rys. Szymon Kobylński

Nie łatwą drogę musiałem przejść jako syn średniorolnego chłopca gdy, tuż po wyzwoleniu wstąpiłem do gimnazjum. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z celu do którego dążyłem. Jedno wiedziałem: trzeba się uczyć. Rdzenni synowie miasta powiatowego Płońsk gdzie znajdowało się gimnazjum wstępowali na wyższe uczelnie, zaś grupa uczniów chłopskiego pochodzenia, w której i ja się znajdowałem, postanowiła — kończąc w 1947 roku gimnazjum — zostać nauczycielami. Skończyłem Liceum Pedagogiczne. Zostałem nauczycielem. Ale rok 1949, rok rozpoczęcia mojej pracy nie był łatwy, był to rok moich „wzlotów i upadków”...

Szkoła wiejska w Suchostrudzie, to moje pierwsze miejsce pracy. Z dreszczem wspominam dzisiaj ostrą zimę 1950 roku, kiedy w mieszkaniu moim temperatura nie wiele różniła się od temperatury na dworze. Szpary w ścianach przez które oglądać można było w mroźne wieczory spacerujący po niebie księżyc, mimo niewątpliwie romantyki tej sytuacji — upychałem gazetami. Rozgrzany do czerwoności piecyk palił z jednej strony spódnię, z drugiej szarpało człowiekiem dotkliwie zimno.

Ciężkie warunki stwierdzał wójt, potem przewodniczący GRN Antoni Olszak kiwał głową: „Jest” — dawał dobre rady i odjeżdżał. Obok, jeśli nie obojętności to w każdym razie — bezradności miejscowych władz, młodzi nauczyciele z naszej szkoły spotkali się od razu z nieufnością mieszkańców gromady, a nawet z czynną kontrakcją wroga

klasowego. Mnożyły się plotki, intrygi, donosy. Dość przetożyć fakt, że pewnego razu niejaki Lewandowski kompletny obskurant i wróg

postępu, doniósł do władz, że (uwaga! sensacja!) widział jak nauczyciele uprawiali z pietyzmem w pięknej ramie portret samego Andersa. Przeprowadzono śledztwo. I co się okazało? Okazało się, że nauczyciele rzeczywiście uprawiali portret samego... Engelsa.

W 50-LECIE „CHŁOPÓW”

Potem przyszła kolej na czytelnictwo two książek. Tutaj poszło trudniej. Mimo wystaw organizowanych w szkole przez komitet rodzicielski, nie można było prawie nikogo skłonić do czytania literatury radzieckiej, książki autorów radzieckich stały czyste, nieruszone na półkach... I tu przyszła na pomoc znajomość zwyczajów środowiska. Postanowiliśmy literaturę radziecką, jej tematykę — ukazać w perspektywie życia naszych wsi. Zapropagować tę literaturę poprzez dobrze znanych, cieszących się zaufaniem społeczeństwa „tutejszych” ludzi. A więc np. był w owym czasie oficerem w lotnictwie polskim jeden z synów chłopskich z pobliskiej gromady Bystrzanów, Jan Gąstał. Na II Kongresie Obróńców Pokoju w Warszawie spotkał się on z bohaterem książki Polewoja, lotnikiem Miersiejewem. Gąstał opowiedział swoje wrażenia z tego spotkania mieszkańcom wioski. Opowiadał o czynach Miersiejewa, opowiadał też o własnych lotniczych przeżyciach nawijając do książki Polewoja. Rezultat? Trzeba było do biblioteki zakazać kilka nowych egzemplarzy „Opowieści o prawdziwym człowieku”. Każdy chciał ją przeczytać.

Od tego czasu jakże jest popularny u nas i „Cichy Don” i „Złoty ugor” — Szolochowa, i „Chleb” — Tolstoj i inne radzieckie książki! Literatura piękna to nie wszystko jednak. Jak zachęcić do czytania klasików marksizmu na przykład? Posłaliśmy tu znów wypróbowaną na przykładzie „Opowieści o prawdziwym człowieku” drogą. Zyl w naszej wsi uczestnik „jaśniejszej” wyprawy Piłsudskiego na kraj Rad w 1920 roku. Wskazyaliśmy mu te rozdziały z prac Stalina, które mówiły o interwencji państw kapitalistycznych przeciwko rewolucji. Na kolejnej gawędzie z czytelnikami opowiedział on barwnie swoje przeżycia z wojny i zapewnił, że „Stalin opisuje kropką w kropkę tak, jak było naprawdę, kropka w kropkę to, co widział w czasie wyprawy i odwrotu wojsk polskich spod Kijowa”. Świadczyło o prawdziwości teoretycznej rozprawy potwierdzone praktyką „znajomka”, który sam przeżywał to „co w książce pisze”, połączenie historycznego opisu z opisem starego gawędziarza — znów odniosło pozytywne skutki: od tego czasu zwiększyło się wybitnie czytelnictwo dzieł i broszur o treści społeczno-politycznej.

Mineły te czasy kiedy byliśmy my, wiejscy nauczyciele a zarazem działacze kulturalni odseparowani od otaczającego nas środowiska. Wzrost nasz autorytet, osiągając możemy coraz to nowe sukcesy. Zaś stać się to mogło przede wszystkim dlatego, że umieliśmy szanować autorytet środowiska w którym działaliśmy, że umieliśmy wykreślić stać to środowisko dla propagandy kultury, że od czasu kiedy zyskaliśmy sobie we wsi zaufanie — nigdy nie działamy w pojedynkę.

Tadeusz Kurpiewski

JÓZEF MAYEN

Jak żyją Reymontowskie Lipce

...i szła cicha, wyteżona robota i nikt się już nie lenił, na samsiadów nie oglądał, o niczym drugim nie myślał, a jeno przygięty nad zagonem kiej wół, w pocie czoła pracował”.

Takie żniwa widział w Lipcach Reymont w latach 1892-3, kiedy pełnił funkcję nadzorca odcinka kolei warszawsko-wiedeńskiej i mieszkał w stojącym o kilometr od wsi ceglany domku kolejowego droźnika. I tak je w „Chłopach” opisał. Pięćdziesiąt lat mija w tym roku od wydania pierwszych dwóch części, a trzydziści od przyznania Reymontowi nagrody Nobla. Jak szła ta cicha, wyteżona robota przy tegorocznych żniwach? I czy dziś też „o niczym drugim” nikt przy niej nie myślał?

gminnej w Słupii, do której Lipce należą i z którą z dawien dawna różne toczą spory.

— Tę szosę do Łodzi, co ją pan stąd widzi — powiada — to ja wywalczyłem. Bo Słupiaci bali się, że jak szosa tędy pójdzie, to gminę od nich do Lipiec przeniosą. A teraz i zarząd GS na całą gminę u nas i GOM na całą gminę u nas, a przy nowym podziale powiatu, jak powstanie u nas Gromadzka Rada Narodowa na pięć wiosek, to całkiem Słupiaków zakasujemy.

Patrzac na niego, myślałem o Macieju Borynie, co to „chociaż urzędu niakiego nie sprawował, a gromadzie przewodził”.

Czy jest dzisiaj w Lipcach taki Maciej Boryna?

Wszyscy tu o nim wiedzą, prawie wszyscy „Chłopów” czytali. Starzy przechwalają się też, że Reymonta osobiście znali.

— Mój mąż nieboszczyk — opowiada babcia Mirowska — jak był małym chłopcem, to panu Reymontowi grzyby nosił. A jakżeśmy z mężem później do Warszawy jeździli, to zawsześmy jego grób na Powązkach odwiedzali.

— Jak mieliśmy w Lipcach nową szkołę stawiać — wspomina inny — to chcieliśmy ją nazwać imieniem Reymonta i wybraliśmy się do Warszawy w delegacji do niego.

Był już ciężko chory, nie mógł nam pomóc i Słupiaci nas wtedy ubiegli i szkołę wystawili u siebie. Ale jej nie nazwali jego imieniem. Bo i skąd takiej Słupii — do Reymonta!

A miejscowi kolejarze, dowiedziawszy się o 50-leciu wydania „Chłopów”, zaczęli się naradzać, czy by na owym domku droźnika jakiejś pamiątkowej tablicy nie umieścić. Tylko jeden, ale ten już nie żyje, Józef Jarzębski, był jego nieprzejednanym przeciwnikiem.

— Próżniak on był — zrywał się, kiedy go kto o Reymonta zapytał —

(Dokończenie na str. 6)



Halina Strzyżówna

Fot. CAF — M. Szperko

JAN SIENKIEWICZ

O właściwie pojęty regionalizm

Miasteczko, w którym pracuję nosi melodyjną nazwę Sępól. Leży w bartoszkim powiecie województwa olsztyńskiego. Oplywa je malowniczo rzeka Lyna.

Ala nawet najgorszemu wrogowi trudno żyć w takiej sytuacji jaką zastałem wśród młodzieży w miejscowej szkole, kiedy przybyłem do tego miasteczka.

W latach 1949 — 1950 byłem świadkiem nieprawdopodobnych wprost wybryków. Najstarsi uczniowie zamieszkali w pobliskiej wsi Roden postanowili np. spalić most na rzece. I kto wie jakby się cała historia skończyła? Ognisko pod drewnianym mostem już płonie, nadszedł jednak przypadkowo jeden z nauczycieli i most został uratowany. Młodzi, z klasy V wzorując się na starszych „podpalaczach” postanowili wykreślić z mapy powiatu Sępól, by korzystać z ciemności, zrabować w sąsiednim mieście 13.000 złotych. Wreszcie grupa VI-klasistów wyłaziła zrecznie światło w sklepie GS i zrabowała... same wieczne pióra.

Trzeba zaktywizować uczniów w pracy społecznej! — postanowiłem. Zarządziłem więc w 1950 roku (jako dyrektor szkoły) wielką zbiórkę złomu. Dobrzy odczulkowie — sklepikarze wyposażyli grupę młodzieży w wielki wóz na gumowych

kołach i dobre konie. Młodzież zebrała w moim imieniu złom i spokojnie sprzedała go na wódkę. A kiedy czyn ten został napiętnowany i odnotowany w dziennikach lekcyjnych, ciż sami chłopcy spalili dzienniki, mnie zaś poczęstowali całą rzucaną przez szybę do mieszkania.

Bilansując tego rodzaju „aktywność” młodzieży włosy stają na głowie. Jeszcze w 1952 roku uczniowie szkoły mieli 8 procesów sądowych!

Dłużej czekać nie było można. Trzeba było za wszelką cenę znaleźć nowe formy aktywizacji społecznej młodzieży. Jaką drogę obrać? — myśleliśmy. I postanowiliśmy spróbować drogi najtrudniejszej: zastąpienia zainteresowań przestępczych u młodzieży — zainteresowaniami kulturalnymi.

Z początku ponosiliśmy klęskę za klęską. Publiczne dyskusje nad książkami nie udawały się. Może więc teatr? Nawiazaliśmy łączność z teatrem im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Zespół teatru przyjechał z „Damami i huzarami”. Niestety, sala zapelniona tylko w połowie wyłudniła się prawie zupełnie pod koniec przedstawienia. Podjechałem kilka przegrodzonych recenzji. Np. taką: „myślałem, że dowiem się jak dawniej pito i było, a tu gadają do wiersza i ruchu żadnego poza krzykami kobiet nie ma”.

(Dokończenie na str. 2)

ARTUR MARYA SWINARSKI

Ilustr. Maja Berezowska

Nowe parodie

JERZY ANDRZEJEWSKI

PAWEŁ HERTZ

Zakończenie Wojny Skutecznej czyli Potyczka na Zadufiu

Miniatura Słowackiego:

R Z Y M



Przybycie do Obozu — Piosenka Tomka — Orędzie — Zniknięcie Zadufka podskakiwacza — Potyczka z Zadufiem kaznodzieją — Wytrąsanie — Finał.

Słoneczko przygrzewało. Kuwikaj czyżki, ach, jak kuwikaj. Nie opodał turkocze wesoło wodny młyn. Ot, już jesteśmy w Obozie Antyzadufkowym, tak, złoci moi, jesteśmy. O, Wojno, Wojno Skuteczna! Wojno w trzech tomach!

W Obozie panowało pełne skupienia oczekiwanie, bo sroczka na płocie zaanonsowała nasze przybycie.

Na dębowym kłocku siedziała dość piegowała włókniarka o lekko zadartym do góry nosku i miłym doleczku na jednym policzku, i roześmiana czytała głośno „Popiół i diament”. Rzecz jasna, otaczał ją zewsząd tłum niezwykle zainteresowanych słuchaczy. Uderzenie naszej książki było mocne i celne. Któryż z ludzi pióra nie przeżywa gwałtownej dumy, gdy jego myśl, trafią pod strzechę jasnych włosów, gdy jego słowa znajdują w prostych ustach i w prostych uszach? O, głupie nienasycenie! O, mądre nienasycenie!

Ale roześmiana dziewczyna dostrzegła nas i natychmiast się poderwała.

Równocześnie w głośnikach odezwał się donośny głos:

— Uwaga, uwaga! Tu mówi Rozgłośnia Obozu Antyzadufkowego. W tej chwili raczył wejść do Obozu Komendant Wojny Skutecznej, Jerzy Andrzejewski. Jest teraz dokładnie godzina dziewięć minut trzydzieści dwie.

Potężne „niech żyje” rozległo się ze wszystkich stron Obozu. O, dobra, radosna nadziejo!

Słoneczko coraz silniej przygrzewało, ach, jak bardzo o bardzo przygrzewało. Hej, wiosno, wiosno! W dębnie kukulka zakukała.

— O cóż ciebie zaptać, zazulko-kukaweczko? — szepnęła roześmiana zetempówka. — Powiedz, ilu wśród nas Zadufków?

Kukulka w odpowiedzi dwa razy kuknęła. Jest to fakt bezsporny i już historyczny.

Wszyscy w należytych odstępach ruszyli, ruszyli za nami. Pyzaty Tomek roześmiany śpiewał, śpiewał swoją nową piosenką.

A była ona taka:

W naszej wojnie nie ma płaczu. Szlochów ni lamentu, Nie ma krwi ani kropelki, Płynię za to strumień wielki Atramentu.

Raz, dwa, trzy, cztery! Hu ha ha!

W naszej wojnie nie zwycięża. Bagnet ani rapier. Pobjowisk też nie będzie, Bo gdzie się obejrzyś, wszędzie Tylko papier.

Raz, dwa, trzy, cztery! Hu ha ha!

Całe nasze przybycie do Obozu, tak, młodzi towarzysze, do Obozu i powitanie nas, Komendanta, zostało nakręcone przez ekipę filmowców, którzy utrwaliли zbliżenie naszych oczu i naszego czoła na tle liści dębowych. O, Wojno, Wojno Skuteczna! Wojno wzniosłych zbliżeń!

Tymczasem Polanę zapełniło nieprzebrane ludzkie morwie, że he! Kiedy się wreszcie uciszyły oklaski i wiwaty, siedliśmy na tronie i odczytali wsem Orędzie, tak jest, mili moi, Orędzie:

„My, Pisarz Polski, Jerzy Andrzejewski — w oparciu o Nasz Talent

— Naszym Wiecznym Piórem i na Własnych Śmieciach, wypowiadamy Wojnę dwóm pozostałym Zadufkom, których obecność w Obozie zdradziła Nam kukulka. Wróg jest nielatywy, o, nielatywy do pokonania, bo żaden Zadufek nie wie przecież, że jest Zadufkiem. Ale ostrzegamy, że zastosujemy najbardziej nowoczesną broń, którą wynaleźliśmy wczoraj: humor, ech, humor. Mniemam, że za wynalezienie tej broni zostaniemy racjonalizatorem. Potyczkę z dwoma Zadufkami uważamy od tej chwili za rozpoczętą. Nie popuścimy Zadufkom, hej, nie popuścimy! Niech żyje Wojna Skuteczna, o, niech żyje!”

Gdy filmowcy nakręcili aplaudujące ręce i zbliżenie naszych ust, podszedł do tronu roześmiany przodownik Wacek Kupa i zamasztył ruchem podciągnął spodnie. Filmowcy na chwilę wycelowali w nie obiektyw swych aparatów, by zaraz

wrócić do poprzedniej pozycji i nakręcić zbliżenie naszych uszu.

Zaś Wacek Kupa tak zaczął: — Dziewczęta i chłopcy! Faktycznie musimy stuknąć przede wszystkim Zadufka kaznodzieję za to mętne trajlowanie.

— Jasne! — krzyknęła roześmiana zetempówka.

Ale za naszymi plecami wyrósł nagle młody dziennikarz w rogowych okularach. Filmowcy zaczęli nakręcać zbliżenie naszych pleców.

— Towarzyszu Kupa — zawołał dziennikarz — widać nie czytacie, ach, ach, nie czytacie, co piszą o kaznodziei w gazetach.

I wyciągnąwszy z kieszeni numer „Przeglądu kaznodziejskiego”, zaczął czytać i równocześnie dygał a dygał, podskakiwał a podskakiwał:

„Mistrz Franciszek Rabelais zażdrości mu renesansowej frazy, a Linde słownika, o, jak mu zażdrości! ...Górnicki używa mu sierzności, a Szymon Szymonowicz sroczki... Za jego kreacje odkrywcze kłania mu się nisko, kłania mu się Le Sage... Wolter chodzi z nim pod rękę... Jan Potocki pada mu do nóg... Magdalena Samozwaniec rzuca mu się na szyję... Swinarski go oblapia... Całuje go w czoło sam Lucjan z Samosaty...”

Tu Zadufkolog jeszcze raz podskoczył — i wskoczył. Ale sytuacja! Lecz nie niepokójcie się, czytelnicy.

— A niechże ten jakiś Luczek każdego jednego z nas pocałuje dwa razy w tyłek, nie? — odezwał się roześmiany blondynek, ten sam co wczoraj.

Ideologicznie zachwiani filmowcy zesunęli obiektyw na wysokość tyłków i czekali, czekali.

Lecz Wacek Kupa łagodnym ruchem podciągnął spodnie:

— Chłopcy i dziewczęta! Skończyć z ostatnim Zadufkiem. Wytrąśnięć Zadufka kaznodzieję za to mizdrzenie się i ciackanie. Cholera jednego słowa powiedzieć nie może, by zaraz nie krzyknąć „o!” i „hej!” i „oj!” i „ach!”.

Jednego zdania nie powie, by się zaraz nie obliżał, tak mu smakuje to zdanie, o, tak mu smakuje — by go zaraz nie powtórzył od początku, hej, by go

zaraz nie powtórzył, złoci moi. Wytrąśnięć natychmiast kaznodzieję, tak, wytrąśnięć!

— Wytrąśnięć! — powtórzyli roześmiani słuchacze.

Wacek Kupa niecierpliwym ruchem podciągnął spodnie:

— A ta jego sroka pożyczona, jak zaskrzeczy, to zaraz i goście idą. A ta kukulka, ile razy zakuka, tyłu Zadufków wykuka. Wytrąśnięć z kaznodziei tę metafizykę socrealistyczną, hej, wytrąśnięć!

— Wytrąśnięć! — krzychał roześmiany chór zetempowców.

Wacek zdecydowanym ruchem podciągnął spodnie:

— Za to, że nas tak z inteligentką klepie po ramieniu. „Wielkiej Wojny”, gdzie wytacza wynalezioną przez siebie broń: ironiczną artylerię, która nie trafia, i bomby śmiechu, które nie wybuchają, i czolgi kpin, które grzęzną w piachu sloganów. Wytrąśnięć ważniaka! Wytrąśnięć mądralę! Wytrąśnięć monopolistę! Wytrąśnięć kaznodzieję!

— Wytrąśnięć Zadufka kaznodzieję! Wytrąśnięć! Wytrąśnięć! — powtarzały tysiące roześmianych ust.

Coś takiego! Czy słyszycie, słyszycie?

Wstrząśnięci wstaliśmy z tronu. Nastąpiła cisza, tak, nastąpiła.

— A gdzież ten Zadufek kaznodzieja? — zapytaliśmy. — Kto on, hej, kto on?

W tej chwili rozpoczęło się owacyjne, o jakże owacyjne wywołanie:

— Autor! — krzyknął wesoło Wacek Kupa, estetycznym ruchem podciągając spodnie.

— Autor! Autor! Autor! — wołały roześmiane tłumy.

Au-tor! Au-tor! Au-tor! — skandowali wszyscy uczestnicy ostatniej potyczki.

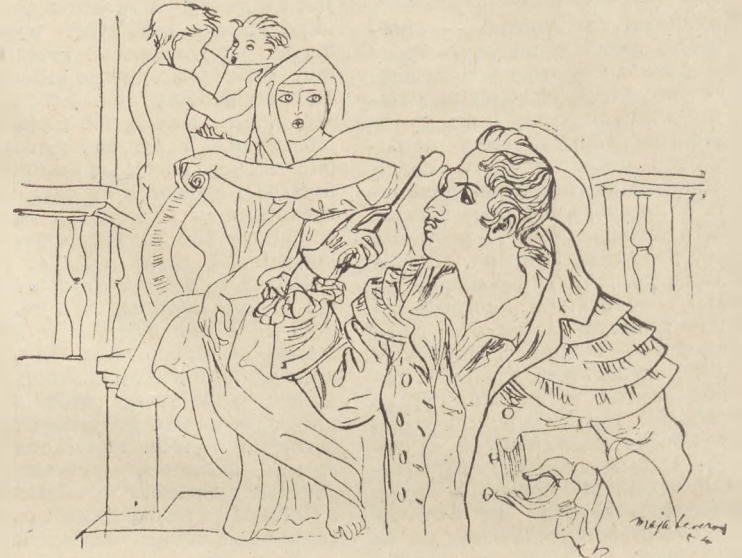
O, Wojno, Wojno oby skuteczna!

Jak zdaje się nie ulegać wątpliwości, Słowacki nudził się w Rzymie, do którego przyjechał któregoś dnia. Może należy sądzić, że myślał o znaczeniu swej podróży, ale jestem prawie pewien, że w siedem czy szesnaście lat potem wspominał o niej prawdopodobnie nieraz. I my historia powinniśmy chyba wybaczyć tę słabość młodemu ponoć poecie, która go widocznie nudziła. Podejrzewam, że interesowała go wtedy raczej kariera poetycka. Co za los!

W Rzymie Słowacki pewnie pisał, a może tylko myślał. Nie wiemy, czy właśnie wtedy na angielskim śniadaniu u pani Richthoffen poznał, chyba w salonie, po herbacie, a podobno jeszcze przy herbacie, pewnego włoskiego literata i może za jego namową napisał rzekomo

czym innym. Czym; tego nie wiem, ale wydaje mi się, że poezją. Nie wykluczone, że przeżywał wtedy jakieś emocje, które dziś są chyba faktami, cytowanymi pewnie przez historię literatury.

Należy przypuszczać, że szperał może w swoich notatkach z Szwejcarii. W docznie piękne są szwejcarskie góry, skoro o nich pisał prześliczne wiersze autor „Spisku koronacyjnego”, tak bowiem nazywa się rzekomo jedna z części „Kordiana”. Nie wiemy, czy Słowacki obmyślił te wiersze przed spaniem, lub może o świcie, albo raczej jeszcze wtedy, gdy chodził po tych górach i spoglądał zapewne w doliny. Bo chyba lubił „widok przyrodzenia”, jak pisał 20 października 1835 w liście do matki, która go, sądząc, otrzymała, skoro go czytała,



brosturkę o jakichś wydarzeniach. Myślę, że po francusku. Ow Włoch miał ją może przetłumaczyć, prawdopodobnie na włoski. Ale Słowacki broszury, zdaje się, nie napisał i nie wiadomo, czy została przełożona. Wyobrażam sobie, jak go ta cała sprawa pewnie nudziła, bo Juliusz może zajmował się wtedy

Nie zamierzam bynajmniej, tak mi się wydaje, analizować twórczości Juliusza, który pono starał ubierać się starannie i lubił chodzić zapewne po woskowanych parkietach. Do popielatego fraka nosił prawdopodobnie beżowe rękawiczki. Małce chyba zawsze dziękował za pieniądze, które mu, zdaje się, posyłała.

Gdy czytałem książki o Słowackim, zauważyłem, że pokazywano nam tam albo jeden, albo drugi jego profil, które, jak wiadomo, były nierówne. Nigdy nie widziałem obydwa profilów razem — zdarzenie przeraźliwie nudne. Ujrzałem je chyba dopiero w listach Juliusza do matki, do której pisywał prawdopodobnie z całego świata, bo może z Europy i pewnie ze Wschodu. Ale tu już wybiegamy, zdaje się, o parę lat naprzód.

Z Kapitolu chyba jeszcze nie wiadać małych okien pokoju przy ulicy Pontieue, gdzie Słowacki pewnie kiedyś zamieszkał. Ale widać, sądzę, ulicę Rzymu. Słowacki podobno chodził po Rzymie, wybierając, zdaje mi się, miejsca najbardziej poetyczne. Wolno przypuszczać, że oglądał kościoły, ruiny, cmentarze i może często patrzył na niebo. Możliwe, że nudziło go to niezmiernie.

Zwiedzając galerie rzymskie, poeta podobno przeważnie, poza rzezbami, podziwiał obrazy. Najchętniej chyba obrazy piękne, bo obrazy liche nie wywierały na nim pożądanego wrażenia.

Może właśnie w tym czasie pisał nie wiadomo co i pewnie coś czytał. Skądinąd wiemy, że czytał. Prawdopodobnie „Nieboską komedie” i „Irydionę” niejakiego, zdaje się, hrabicy, którego przyjaciele cenili rzekomo za dobry smak, a który przewiechał pewnego dnia do Rzymu. Mówią, że się tam nudził.

Podobno hrabia-literat był chory na oczy i leczył się może u kogoś z lekarzy. Jeżeli wolno mi się domyślać, nazywał się Zygmunt Krasinski, chociaż nader krucho i niepewne są ponoć wszystkie interpretacje biograficzne. Do tej sprawy chyba jeszcze wrócimy.

Okazało się, że czas płynie miarowo, lecz nieubłaganie. Dzięki plotce skrupulatnych badaczy wiemy prawie dokładnie, że Słowacki któregoś roku opuścił Rzym. Pozostawiam czytelnikowi swobodny wybór motywu, jaki poeć skłonił do wyjazdu; sądzę, że można by bez przeszkód cytować liczne anegdoty czy nawet fakty.

W dwa dni po napisaniu listu do matki Juliusz wjechał. Teofilowie Januszewscy może właśnie wtedy wrócili, jeden Teofil z Neapolu, drugi Teofil z Sorrento.

Gdy Słowacki wyjechał z Rzymu, dyliżans pewnie kołysał się lekko. Na dnie zielonego kuferka spoczywał prawdopodobnie oprawny w czerwony safian sztambuch z jakimiś wierszami. Gdyby ktoś miał cierpliwość patrzeć dłużej za oddalającym się dyliżansem, dostrzegłby że skręcił on w pewnej chwili. W którą stronę, nie wiem.

CYPRIAN KAMIL NORWID

Do potomnych

MONOLOGIA

Si come secco legno in foco ardente...

Buonarroti
This is the deepest of our woes,
For this these tears our cheeks bedew:

This is of love the final cry
Lord Byron

Rękopism mój, czego nie spodziewałem się, był, i w prozie historycznej i w prozie technicznej, lubo tego sobie wybiegu nie pozwolę... to, już osobistość autora — in quo possit intelligi, quantum restet animae! Autor nie mając na celu rozumu, ale mając na celu mądrość, która z konsekwencjami rozumu w czynie wiarołomi, ten jest tego, co zowią specjalnościami, rytym i akord. Ta to jest nareszcie tajemnica, o której długo, długo myślałem, jako że:

Indianin cierpliwy przez moc (pion i kamień),

Pers, przez pojęcie światła, skąd kolory tkanin perskich sławne,

Niderlandczyk praktyczny przez chemię, to jest wynalezienie olej-jem malowania (Van Eyck)

zapracowywał na sztukę w LA-BIRYNCE tych sił postaciowania, które są nie tylko w geodetycznym, ale i w klimatycznym usposobieniu kraju (ziemi).

W Polsce umiejętni postacie do myśli swych dorabiali. Juści on, tylko ciągle postaciując; piętrząc arkady do tego sztuk wodociągu, który bowiem składa się z tej sfery dolnej, co łączy go z drugimi (z Grekami, z Babilonem) i z tej górnej, nieistniejącej poza granicą harmonii, jako się wyżej rzekło. Vale!

C. K. N.

Iluz ja książek widziałem skonanie,
Jak sztukmistrz, który wędrujący między
Zobaczy nim odejście na wygnanie,
Siostry, co na granicznym glazie siedzą
I długo patrząc w niebo (bo Słowianki...)
Z kłosów nie z kwiatów, uplatają wianki.
Tu, sztukmistrz staje, trzeźwy jak Pythagor,
Obraz obejma w serca swego wnętrze,



Ironią, wpięrow najadłszy się mandragor,
Harmonie waży coraz niepojętsze.
Chociaż śpiewałem pieśni malinowe,
Chociaż śpiewałem pieśni kalinowe,
Dziś, epodowych wianków nie oświadczam,
Bo ŚPIĘ... ale nie sobie śpię, lecz śpię wam!
I wiersz, strzaskawszy wpięrow muzyką lutnię.
Upogardliwie, lubo wierutnie.

2

3.
Dla nich tryumfu ark się wymarmurzy,
A mnie, w zbutwiałej xiedze zapomnienie.
Dla nich hydromel z kanop w kształcie róży,
A mnie zostały laury, i MILCZENIE.
O Polsko!

4.
Ci z kasty wiednej w mędrcoń dureau
Szemrali: „Niech się forma rozniewoli!”
Więc dzisiaj wstaję bez namiętności,
PRYSZCZAMI mając zakwitłe oblicze,
I rzucam wieżę z mamutowej kości
(ALEA IACTA EST!) — do potomności

Zejdę,
akordy stopniowo odliczę:

Po wydeptanych schodach
schodzą
słowa,

Idę
w noc długich noży
Kolesowa,

Słowa
w odlewniach
równie odlewane,

Na piłę
sztancą
w prasie sztancowane —

Juz
oto
wiersz
mój
coraz
niżej
schodzi.

Zszedł. Lecz nie wyszedł. (Im też nie wychodzi.)